

Roman JASKULSKI

56. Ogólnopolski Zlot Przodowników Turystyki Pieszej okiem uczestnika

Wzięłem sobie do serca apel Kolegi Przewodniczącego naszej Komisji o przesyłanie relacji z imprez do publikacji na



łamach „Piechura” i zadeklarowałem, że napiszę sprawozdanie z 56. Zlotu Przodowników. Słowo się rzekło, kobyłka u płota. Sprawozdanie czas zacząć. Uprzedzam jednak czytelników, że relacja poniższa będzie wybitnie osobista i subiektywna. Z racji tego, że napiszę przede wszystkim o tym, w czym sam brałem udział, napomykam zaś jedynie o tym, o czym się od innych dowiedziałem, a o tym, o czym nic nie wiem, łąć nie będę.

Ruch w bazie zlotu, którą tym razem były akademiki Uniwersytetu Gdańskiego, jeśli wierzyć zapisom programu, zaczął się już w środę wieczorem ze względu na to, że czwartek był dniem wycieczek przedzlotowych. Nic na ich temat nie wiem, bo w żadnej z nich udziału nie wziąłem. Sam zamierzałem rozpocząć swój udział w zlocie po bożemu, czyli od uroczystego rozpoczęcia poprzedzonego zakwaterowaniem.

Z moich planów niestety wyszły nici, bo choć dotarłem do bazy zlotu z godzinnym zapasem, to większość tego czasu zmitrężyłem na poszukiwaniu sekretariatu zlotu. Co prawda dysponowałem mapką okolicy, w którą uczestników wyposażyli Organizatorzy (i chwała im za to), ale nawet z nią w rękę dopiero za trzecim razem zwróciłem uwagę na niepozorny parterowy barak znajdujący się w pewnym oddaleniu od ulicy.

Może zwróciłbym na niego uwagę wcześniej, gdyby gdzieś przy ulicy znalazł się choć niewielki ślad, że miejsce to ma coś wspólnego z odbywającym się zlotem. O ironio, kiedy z pewną nieśmiałością ruszyłem sprawdzić, czy może jest to siedziba szukanego przeze mnie sekretariatu, po przejściu dwóch trzecich drogi dzielącej mnie od budynku zobaczyłem wywieszoną na nim flagę PTTK. Ironia polegała na tym, że miejsce, gdzie ją wywieszono, było dokładnie zasłonięte przez drzewa i krzewy porastające środek podjazdu. Podjazdu, którego nie powstydził by się niejeden polski dworek.

Pomyślałem sobie wtedy, że chyba jednak pomyliłem imprezy i zamiast na zlot przodowników turystyki pieszej trafiłem na zlot przodowników imprez na orientację. Jednak już za chwilę urzędujący w pustym o tej porze biurze młody człowiek o aparycji elfa wyprowadził mnie z błędu wręczając materiały dotyczące niewątpliwie tej imprezy, na którą się wybrałem.

Zaopatrzony we wszystko, czym postanowili obdarować mnie organizatorzy, pożegnałem młodego elfa i poszedłem się zakwaterować. Mój współlokator, z którym miałem dzielić pokój, już przybył, o czym świadczyła m.in. powleczone pościel i kilka innych drobiazgów. Wyprzedzając trochę naturalny bieg zdarzeń napiszę, o czym wtedy jeszcze nie wiedziałem, że los (albo kaprys organizatorów) sprawił, że moim współlokatorem został powszechnie znany bywalec zlotów kolega Bogusław Wiśniewski. Dowiedziałem się o tym dopiero późnym wieczorem, bo do tego czasu nasze drogi, mimo wspólnej kwatery, jakoś się w niej nie skrzyżowały.

Po zostawieniu bagaży i przebraniu się postanowiłem pojechać do Domu Harcerza, gdzie odbywało się uroczyste rozpoczęcie zlotu. Liczyłem, że zdążę może chociaż na koniec tej uroczystości, bo na początek, nawet gdybym się teleportował, zdążyć już nie mogłem. Niestety, rzeczony Dom Harcerza od bazy zlotu znajdował się około 30 minut jazdy tramwajem, a ja najpierw musiałem zaopatrzyć się jeszcze w bilety. Ostatecznie pojechałem do centrum i zrobiłem sobie długi spacer Długim Targiem.

I chociaż nie byłem na rozpoczęciu, potrafię sobie, zapewne podobnie jak większość bywalców zlotów, wyobrazić, co mnie ominęło. Na początku więc zapewne było... spóźnienie. Potem na pewno powitanie gości, po nim krótkie i treściwe przemówienie Przewodniczącego KTP ZG. Zapewne głos też zabrali gospodarze, z Komandorem kolegą Danielem Nazarukiem na czele (niestety, nie dotarł – *przyp. red.*). Oddano też pewnie głos przedstawicielom lokalnych władz, sponsorów, protektorów, itp.

Wszyscy na pewno mówili składnie i do rzeczy, ale stawiam dolary przeciwko orzechom, że mało kto ich słuchał. Nad te wszystkie gładkie przemowy wznosił się na pewno... gwar rozmów na widowni. Rozmów koleżanek i kolegów przodowników, z których wielu spotkało się po raz



pierwszy od roku, a może nawet od kilku czy kilkunastu lat. Na koniec zaś zapewne kolega Przewodniczący huknął laską o stół. Ale nie, bynajmniej nie po to, żeby uciszyć rozgadane towarzystwo, ale żeby oznajmić, że 56. Ogólnopolski Złot Przodowników Turystyki Pieszej można uznać za otwarty.

Po otwarciu kolejnym ważnym punktem był oczywiście obiad. Należało wzmocnić nadwątlone plotkowaniem siły. Skorzystam z okazji i przy

obiedzie napiszę kilka słów o wyżywieniu, żeby już do tematu nie wracać. Wyżywienie Organizatorzy zaserwowali nam w formie cateringu, co miało swoje niewątpliwe zalety. Jak zauważył jeden z kolegów, wydawanie posiłków szło sprawnie i nikt nie musiał na swoją porcję zbyt długo czekać. Wady też były, czego nie omieszkam na koniec wytknąć mój współlokator, kolega Boguś Wiśniewski, a mianowicie po każdym posiłku zbierano w worki ogromne sterty styropianowych opakowań, które następnie trzeba będzie zutylizować. Mało to ekologiczne podejście, ale cóż, w życiu zawsze jest coś za coś.

Jeśli chodzi o samą jakość potraw, to ja nie miałem powodów do narzekań, choć nie wiem, czy podobne odczucia mieli wszyscy uczestnicy. Szczególnie po piątkowej kolacji, na którą podano ociekającą tłuszczem grillowaną kiełbasę z dużą ilością podsmażonej na tłuszczu cebuli. Myślę, że tej nocy wiele okien było otwartych, a i raphacholin pewnie cieszył się wzięciem w okolicznych aptekach. Ale ogólnie rzecz biorąc muszę jednak przyznać, że karmiono nas bardzo przyzwoicie.

Po obiedzie – obrady w komisjach. Wzięło w nich udział łącznie trochę ponad 80 osób, z czego najwięcej w komisji ds. imprez centralnych, która stanowiła pewne novum. W posiedzeniu tejże komisji i ja wziąłem udział. Przewodniczył jej kolega Zdzisław Gostomski, który niemal od razu po moim nieco spóźnionym przybyciu oddał mi głos. Byłem na to zupełnie nieprzygotowany, ale na szczęście po kilku wygłoszonych przeze mnie banałach ciężar kontynuowania dyskusji płynnie przejęli kolejni uczestnicy. Później i ja znów zabrałem głos, kiedy wiedziałem już, co chciałbym powiedzieć.

Komisja pochyliła się nad dwoma najważniejszymi imprezami, tj. OWRP oraz corocznym Zlotem. Dyskutowano nad tym, co należałoby zrobić, aby imprezy te cieszyły się większym zainteresowaniem zarówno potencjalnych uczestników jak i potencjalnych organizatorów. Dyskusja skupiła się na OWRP. Pojawiły się propozycje uatrakcyjnienia imprezy w tym np. przyjęcia zasady, że jedna z tras jest trasą młodzieżową. Wszystkich pomysłów nie sposób wymienić i miejsca na to za mało. Komisja ostatecznie przyjęła sześć wniosków do KTP ZG i na tym obrady zakończyła.

Po obradach i podanej następnie kolacji organizatorzy zaprosili uczestników na nocne zwiedzanie miasta, w tym Parku Oliwskiego. W tej na pewno udanej wieczornej wycieczce nie brałem udziału, jako że mnie i dwunastce innych uczestników na ten czas wyznaczono egzamin na

uprawnienia PTP. Uprzedzając fakty napiszę, że wszyscy zdaliśmy i w ten sposób przybyło nam dwóch nowych przodowników, a jeden z kolegów zdobył uprawnienia przodownika I stopnia.

Mimo, że nie brałem udziału w nocnym spacerze, jestem pewien, że zwiedzanie było udane. Podobnie jak przedpołudniowe zwiedzanie miasta za dnia, o którym słyszałem same dobre opinie. Turystyczne nocne marki tak dobrze wtopiły się w nocny pejzaż miasta, że nie zdołał ich znaleźć sam kolega Przewodniczący, który zamierzał do nich dołączyć, o czym sam napomknął na zakończeniu zlotu.

Kolejny dzień, czyli sobota, tradycyjnie przeznaczony był na wycieczki zlotowe. Trzeba pochwalić organizatorów, a przede wszystkim Komandora zlotu, że przynajmniej dwie z zaplanowanych wycieczek zakładały, że ich uczestnicy przejdą się kilka kilometrów pieszo. Uważam, że to pomysł wart kontynuacji na kolejnych zlotach. Z czterech wycieczek ja wziąłem udział w tej, która przewidywała najdłuższy odcinek do pokonania pieszo. Prowadził ją osobiście Komandor Zlotu kolega Daniel Nazaruk.

Najpierw na dobry początek pojechaliśmy do Żukowa obejrzeć były klasztor sióstr Norbertanek. Następnie autobus podwiózł nas do Borkowa, skąd ruszyliśmy pieszo jarem Raduni.



Pieszy odcinek naszej wycieczki był prawdziwym sprawdzianem sprawności fizycznej. Nie dość, że wąska ścieżka wiła się raz w górę, raz w dół po dość stromym zboczu, to jeszcze usłana była licznymi wiatrolomami. Jedne z nich można było pokonać górami, pod innymi trzeba się było schylić, niekiedy bardzo nisko, a jeszcze inne najlepiej było obejść.

Gimnastyki było przy tym co niemiara i na niejednym czole pojawiły się krople potu. Dlatego, kiedy na koniec tego etapu

przewodnik poprowadził nas do sympatycznej knajpki w Babim Dole, wszyscy zdecydowali się przyswoić nieco kalorii, czy to w postaci płynnej, czy też stałej. Nasz najazd nie zrobił na pracownikach jadłodajni wrażenia. Wcześniej kuchenną rewolucję zrobiła w nim Magda Gessler, a po takim doświadczeniu niewiele może już człowieka zaskoczyć.

Po krótkiej przerwie, jedziemy na Wieżycę. Po zdobyciu „Giewontu Kaszub” ruszyliśmy dalej na obiad, do Ostrzyc. Po obiedzie nie dane nam było leniuchować. Drogą Kaszubską zajechaliśmy do Szymbarku, gdzie zabawiliśmy krótko ze względu na wygórowaną cenę wstępu, a następnie do Złotej Góry, gdzie zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcia. Ostatnim przystankiem miała być kolegiata w Kartuzach, gdzie ze względu na odbywające się śluby nie mogliśmy zwiedzić wnętrza. Jednak nasz przewodnik zdecydował, że zobaczymy jeszcze jeden ciekawy obiekt, a mianowicie PGE Arenę. Na trybuny nie udało się nam wejść, ale i tak dużym osiągnięciem było samo wejście na teren obiektu niedługo po zakończeniu meczu.

Z wycieczek wróciliśmy wszyscy na tradycyjną biesiadę. Jak przystało na taką imprezę, było biesiadne menu (bigos z kielbasą i piwo). Była też muzyka, ale tej prawie nie było słychać, bo wokół było głośno jak w ulu przed wyrojeniem. Wszyscy obecni zajęci byli rozmowami, do których była to chyba najlepsza okazja. Piwo, a na niektórych stołach także mocniejsze trunki, rozwiązywały języki. Ja sam, na piwo się nie skusiłem, z przyjemnością porozmawiałem z jedną nieco starszą ode mnie koleżanką przodowniczką. Z ciekawością słuchałem między innymi, jak to drzewiej na OWRP bywało.

Wyszedłem z biesiady jeszcze przed jej końcem. I choć towarzystwo mocno się przerzedziło, to najwytrwalsi ruszyli, jak na porządną biesiadę przystało, w tany. Nie wiem, do

której koleżanki i koledzy się bawili, ale rano nie widziałem podkrążonych oczu czy twarzy zdradzających symptomy syndromu dnia następnego. Wszyscy byli rześcy i wypoczęci.

Następny, czyli ostatni, dzień zlotu zainaugurowała msza odprawiana dla chętnych w nieodległym kościele. Później śniadanie, po którym część uczestników żegnała się i udawała się w drogę powrotną do domu. A po śniadaniu podsumowanie zlotu. Tradycyjnie były podziękowania, uroczyste wręczenie legitymacji przodownikom, którzy rozszerzyli lub zdobyli uprawnienia, sprawozdania z prac komisji oraz... wystąpienie kolegi Bogusława Wiśniewskiego. Pozwolę go sobie nie streszczać.

Przed oficjalnym zakończeniem zlotu kolega Marcin Kruszczyński z Koszalina ogłosił jeszcze wyniki zorganizowanego przez siebie po raz czwarty „fotograficznego” konkursu wiedzy krajoznawczej i wręczył nagrodę zwycięzcy. Okazał się nim kolega Staszek Łuć.

Wreszcie nadszedł ten nieuchronny moment, kiedy kolega Przewodniczący po trzykrotnym grzmotnięciu laską o stół oznajmił, że zlot uważa za zamknięty. Zaczął się czas pożegnań, więc i mnie wydaje się stosowne w tym miejscu pożegnać się z czytelnikami licząc na to, że za rok spotkam się z większością z nich na kolejnym 57. Ogólnopolskim Zlocie Przodowników Turystyki Pieszej. Tym razem w Gnieźnie. Zatem do zobaczenia.